№ 3.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Naglowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 1. Lutego 1843.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Czas idzie swoim biegiem, wszystko się rozwija ku postępowi; jedni tak, drudzy owak utrzymują, ale to jest pewna, że i mężczyzni i kobiety nietylko w liczbie ale pod stopniem wykształcenia posunęli się bardzo od przeszłego wieku. My daliśmy dosyć wyraźnie zrozumieć, że postęp u kobiet daleko się większym okazuje, aniżeli u mężczyzn. Przypisywaliśmy to jedynie temu, że nierównie więcéj czytają, ale kto spojrzy na ich naukowe wychowanie, ten zadumieć musi. Rozważmy te nauki, zwykle po pensyach wykładane, system ich rozwijania, cały kierunek w porównaniu do starań przez rząd, nauczycieli, rodziców względem młodzieży mężkiéj, a pewnie powiemy, że płeć żeńska pod względem umysłu za młodu zostawiona jest tylko Bożéj opatrzności.

Ci, którzy kochają ziemię swoją, życzą sobie w Poznaniu uniwersytetu. Pewno, że jeżeli jest co takiego o coby wszyscy mieli święty obowiązek ubiegać się i starać, na co należałoby użyć właściwéj pory, to pewno nie co innego tylko uniwersytet. Ale nie do nas należy trudnić się takiemi rzeczami. Niech o tém Tygodnik Literacki, Orędownik albo i Rok 1843. prawią. My wychodząc z obowiązku naszego zwracamy tylko uwagę, że po szkołach mężkich przyjęto zasadę, iż nauki najlepiéj się dają tylko w języku swoim narodowym. Panny uczące się w Poznaniu, z téj zasady korzystają tylko, o ile nie wyszły z klass elementarnych. Należałoby się postarać o to, żeby albo przy szkole Ludwiki były oddziały polskie, albo też, żeby szkoła polska tego samego rodzaju powstała. Przypominamy tu nietylko to, że są dwa gymnazia, ale, że już mamy kasyna, teatra polskie i z tytułami polskiemi. Niechże wychowanie kobiet stanie na równi przynajmniéj z temi dwoma instytutami. Kobiety do rad i władz niewchodzą, więc one tego bez wpływu mężczyzn zaprowadzić i dokazać niepotrafią. Ale pośrednio nieraz lepiéj się rzeczy robią jak bezpośrednio. Niech tylko wezmą się za ręce i która może niech o tém pisze, niech to rozbiera, druga znowu niech na męża, brata, ojca, stryja i. t. p. woła, a ta rzecz niewątpliwie przyjdzie do skutku. Trzeba już koniecznie zakończyć to przestawanie na trochę francuzczyzny, pomięszanéj historyi z mytologią, moralności z bajek Lafontaina i przykładów na końcu gramatyki podrukowanych, bo to niegodne naszego wieku.

O D A.

Powieść z czasów Bolesława Chrobrego
przez
Seweryna Goszczyńskiego.

(Dalszy ciąg.)

III.

W owych wiekach prostoty rozumu, uśpienia ducha, a silnych żądz ciała, serce puszczone raz w pewnym kierunku, nie łatwe było do zhamowania. W walce między złém a dobrém szczęściem, pierwszy silniejszy popęd jednego lub drugiego, rozstrzygał już prawie stanowczo spór pomiędzy niemi. Oda, poddawszy się raz z upodobaniem myśli, ażeby za pomocą guślarstwa ujrzeć nieobecnego męża, nieodstąpiła już swojego zamiaru. Jeżeli ją czasem zachwiały groźne posłuchy o podejrzanym pustelniku, jeżeli stanęły przed oczami zewnętrzne przeszkody w spełnieniu zamiaru, jeżeli niekiedy mimowolne

drzenie serca śród rozkosznych marzeń podniosło się jak tajemne ostrzeżenie, wszystko to było tak chwilowe, tak słabe w obec jéj postanowienia, że nie czuła prawie żadnego oporu wewnątrz siebie, a przynajmniéj wyraźnego, że zatém nie zachwiała się ani na chwilę. Kilka dni jednak upłynęło zaczém mogła uskutecznić swój zamiar: czas ten był jéj konieczny, aby sobie zapewnić powodzenie przez dokładną znajomość niektórych szczegółów; nadto konieczna była pewna ostrożność, ażeby to widzenie się nie wyszło z pod zasłon najgłębszéj tajemnicy. Wiedziała naprzód, że nikt jéj w tém nie pomoże, wszyscy raczéj będą przeszkadzać; czuła, że sama swój zamiar musi spełnić, bez środków, bez powierników. Stósownie téż przygotowała się. Zręcznie, ubocznie wyciągnęła z opowiadań wszystkie potrzebne objaśnienia: gdzie jest pewnie ustroń pustelnika, jakiemi drogami dojść do niéj, w któréj porze on sam jest widzialny. O sposobność wyjścia nie trudno było, służba zamkowa przywykła już do jéj samotnych wycieczek. Tak przysposobiona wyruszyła nakoniec dnia jednego w zamierzoną drogę. Przechód był długi i przykry; po śladach kóz dzikich, między odwieczne zwaliska lasów, pod urwiste wyżyny, przepaścistemi łożami suchych potoków: nieraz po drodze niewiadoméj obłęd zachwycił, ale oswojona z górami, pokonała to wszystko, lubo nie bez utrudzenia nogi. Wszakże daleko cięższéj było sercu. Jakaś trwoga skryta, obca jéj dotąd, niby nie wyraźne przeczucie niewiadoméj złéj przygody, burzyła jéj piersi, zatrzymała uderzenia serca, tamowała oddech. Nieraz podwójne to znużenie, wewnętrzne i zewnętrzne zmuszało ją stanąć śród biegu, odetchnąć, odpocząć; aż dopóki znowu coś mocniejszego nie porwało jéj woli i nie popchnęło daléj. Im bliżéj była celu, tém słabszą, tém lękliwszą się czuła. Nieraz gotowa już była odstąpić swojego zamiaru i wrócić bez widzenia się z pustelnikiem. Znajdowała się właśnie w podobnéj niepewności, kiedy w uszy jéj zadzwonił znajomy dźwięk gęśli, wtórzący słowom pieśni znajomym głosem śpiewanéj: ale w żywszych jéj tonach przebijała się jakoby radość. Granie było tak bliskie, że słyszała wyraźnie następujące słowa:

Wysłuchałaś mię, moja bogini!
Zajrzałaś w czarną pierś mojéj pieczary.
Ciemność jéj ucichła przed blaskiem,
Życie moje spłonęło jak niebo otwarte.
O! zostań tak i patrzaj tak wiecznie,
A gdzie ty, tam niebo dla mnie i dla ciebie,
Cześć wam, cześć potężne bogi!

Oda zadrzała, niewiadomo jakiém wzruszeniem, ale nie miała już chęci cofnąć się. W duchu pieśni było coś nakształt radośnego powitania, był urok, który ku sobie wabił. Oda postąpiła kilka kroków i ujrzała się tuż przy jaskini. Przed jéj czarnym otworem, na olbrzymim pniu zwalonego świérku siedział śpiewak z gęślą na kolanach. Oda domyślała się w nim pustelnika. Ubiór jego był krojem ubioru zakonnego, ciemny, obszerny. Kaptur na głowę zawdziany zakrywał większą część twarzy, reszta oblicza ginęła pod gęstą, kędzierzawą brodą. Na szelest zbliżającéj się Ody, gęślarz zawiesił granie, podniósł głowę, cisnął iskrami z małych, ognistych oczu, ale wnet je zniżył, odrzucił gęśl na bok, powstał z powagą i rzekł łagodnym ale uroczystym głosem:

„Witam cię, żono możnego Gromowida. Przychodzisz widzieć samotnego mieszkańca jaskini. Oto go masz przed sobą.“

Jakby zgadł, że pomieszanie Ody nie da jéj łatwo zacząć rozmowy; wszakże słowa jego wprawiły ją w zadumienie od pomieszania nie mniejsze: ale razem podały do ust pierwsze słowo:

„Jakto? zapytała zdziwiona, ty mię znasz, pobożny ojcze! Nie widziałam cię nigdy.“

„Słońcu na niebie, odpowiedział pustelnik, a Odzie na ziemi trudno się ukryć. Wiedziałem nawet, że dziś tu będziesz i czekałem ciebie. Nie dziw się, skoro wiesz do kogo przychodzisz. Jakiéjże usługi żądasz po mnie, dziecię moje?“

Oda zdumiona jeszcze bardziéj nie wiedziała znowu jakiém słowem usta otworzyć. Dobroć pustelnika przyszła jéj w pomoc.

„Droga przykra, rzekł on, upał nużący; jesteś Odo zmordowana, odpocznij na siedzeniu, jakie ci biedny pustelnik ofiarować może,“ i wskazał drzewo, na którém dopiero siedział.

W słowach tych przemówił do serca Ody znajomy głos śpiewaka z całą ujmującą łagodnością, z całym urokiem zniewalania i ośmielił ją nakoniec w obec nieznajomego. Usiadła na wskazaném drzewie, spojrzała w twarz pustelnika i widziała ją schyloną pokornie ku ziemi: było to może potrzebne, aby zupełna swoboda mogła wejść do jéj myśli, aby się usta rozwiązały do rozmowy dla któréj tu przybyła. Pustelnik jeszcze raz wsparł ją, zapytując o powód, ktoremu on winien obecność tak możnéj pani w jego dziczy tak smutnéj.

„Mamże ci, ojcze, koniecznie już powiedzieć ten powód? rzekła wreszcie Oda. I strach mnie i wstyd, ale moja miłość mocniejsza od wszystkiego, a dzisiaj tyle cierpię ile kocham. Ojcze, ty nie będziesz śmiał się ze mnie, ty musisz być tak dobry,

jak jesteś pobożny i mądry. Nie wiem jednak jak ci to powiedzieć. Ludzie utrzymują, że masz mądrość guślarzy i moc rozkazywania duchom. O mój ojcze, wiesz zapewne, jak ja mojego męża kocham, a dzisiaj muszę żyć bez niego. Wojna przypadła jak ptak drapieżny i porwała mojego gołąbka; i oto zostałam sama, ani wdowa, ani żona. Nie wiem gdzie jest? co robi? kiedy powróci? Nie mogę się pocieszyć i nie mogę przestać smucić się. Ratuj mię, ojcze, daj mi pociechę, daj szczęście!"

Pustelnik słuchał spokojnie, z okiem spuszczoném, czasem błyskał niém w górę, mienił się na twarzy; rozrzewniały go widać te wynurzenia się niewieście tak proste, a tak serdeczne, bo zawołał wzruszonym głosem: „Jakąż pociechę mogę ci dać? jakie szczęście? ja, ja sam, tak... ich potrzebny?"

„Pokaż mi mojego męża! Czy żywy, czy umarły, pokaż mi go!" odpowiedziała Oda z całą żywością i mocą panującego jéj uczucia.

Pustelnik pomilczawszy chwilę, zapytał: „Kobieto, wierzysz ty w Boga Chrześcian?"

„Wierzę."

„I w jego dobroć?"

Oda znowu potwierdziła.

„Jego więc proś o to."

„Ach! prosiłam po tysiąc razy, najgorętszemi łzami, nie chciał mię wysłuchać!" — rzekła z głębokiém westchnieniem.

„I mnie nie zechce" — odpowiedział ponuro.

„Wszakże powiadają, że niejednego pocieszyłeś tak, jak ja chcę być pocieszoną. Czemużbyś dla mnie zrobić nie mógł tego, co robiłeś dla innych!"

„Dla innych robiłem, powinnaś to wiedzieć, przez moc przychylniejszą nam, jak moc nowéj wiary, przez Bogi ojców naszych."

Słowa te dały cokolwiek do myślenia Odzie; krótko się wahała: „Ha!" rzekła — „kiedy inaczéj być nie może, zrób i dla mnie przez Bogi ojców."

Guślarz przybrał postawę i głos uroczystszy jak dotąd: „Czy myślisz," mówił — „że to tak łatwo, jak zapragnąć? Bogowie są Bogami. Nie mamy ich na pierwsze zawołanie. Nie rozdają darmo łask swoich. Kto chce mieć ich po sobie, musi szczerze wyznać ich potęgę, gorąco prosić, a nadewszystko musi je uczcić. Czy pojmujesz to, moje dziecię?"

Oda nie pojmowała widocznie, bo zapytała natychmiast: „Jakąż cześć potrzeba im złożyć?"

„Przedewszystkiém potrzeba zaprzeć się innych Bogów" — odpowiedział pustelnik.

Strach mimowolny ścisnął serce Ody. „Jak to!" zawołała — „nawet prawdziwego Boga?"

„Nawet Boga, którego masz za prawdziwego" — rzekł pustelnik głosem niezmienionym.

Oda nie wiedziała zrazu, co daléj począć, ale dobre natchnienie padło na jéj serce w téj chwili: „Ojcze," rzekła — „jesteś-że ty Chrześcianinem, że tak mówisz?"

„Alboż powiedziałem, że nie jestem?" odpowiedział; a gdy Oda milczała, mówił daléj: „Córko moja! tak! Jestem Chrześcianinem, ale kiedy robię to, czego wymagasz po mnie, wtedy robię przez Bogi dawne, domowe; wtedy jestem tylko guślarzem, poganinem. Inaczéj nie miałbym ich pomocy; inaczéj nikt jéj mieć nie może."

Umilkł, a gdy Oda stroskana niespodziewanym warunkiem zatopiona była w myślach, odezwał się znowu już łagodniéj: „Odo, nie będę ci stawiał czczych trudności. Nie pojęłaś mię zapewne i dla tego to przestraszyłaś się mojemi słowami. Nie idzie tu o zupełne wyparcie się chrześciańskiego Boga. Starzy Bogowie są dobrzy, kochają nas zawsze jak dzieci tych ojców, którzy ich przez tyle wieków, tak szczerze kochali. Zrobią wiele dla nas, chociaż niegodnych, przez dawną przychylność. Z naszéj strony przestaną na małém. Dosyć im jakiegokolwiek znaku uczczenia, jakiéjkolwiek ofiary. Czy jesteś do tego przygotowana?"

„Niech wiem, co się im podoba zapragnąć, a może...."

„Oni przestają na małém, powtarzam ci, Odo! Lekka ofiara z czegokolwiek, co należy do Boga chrześciańskiego, zjedna ci ich zupełnie. Widzę na twoich piersiach krzyżyk, daj mi ten krzyżyk."

„O Boże!" zawołała Oda — „mogęż to zrobić? Jest to drzewo z szubienicy, na któréj umarł Bóg prawdziwy, i ślubny upominek Gromowida."

„Upominek Gromowida!" powtórzył z widoczném wzruszeniem pustelnik, ale z cicha, a głośno zawołał: „Tak, Odo! będzie to najmilsza ofiara Bogom, i pomoc ich niezawodna."

Oda załamała ręce: „o ja nieszczęśliwa! mamże się pozbyć tego, co mi najdroższe i najświętsze. Nie! Wolę z moim Bogiem cierpieć, jak dotąd cierpiałam."

„Cierpieć!" mówił Czarnodum. „Któż cię od tego odwodzi? I ja cierpię przez tegoż Boga! Ale pomnij, że może nie sama będziesz cierpieć. Może za wszystkie twoje cierpienia nie otrzymasz jedynéj nagrody, do któréj wzdychasz, nie ujrzysz już więcéj twojego męża. Stare Bogi są mściwe i potężne: kiedy zechcą złe wyrządzić twojemu mężowi, nowy Bóg nie zasłoni go. Rozważ to dobrze."

Oda słuchała, płakała, łamała ręce. Kochała męża, ale nie mogła przenieść na sobie, aby dla jego

miłości przeniewierzyła się i téj miłości i Bogu. Jéj serce chociaż upadające, miało jeszcze nad sobą wierną straż dobrego Anioła. Czuła, że nie powinna była zrobić zadość żądaniu pustelnika, wolała zrzec się nadziei, jedynéj ulgi, na jaką w nieznośném swojém cierpieniu rachowała. „Nie!“ rzekła — „tego nie zrobię; niech się dzieje wola Boża!“ Wstała, aby odejść.

Pustelnik zdawał się ciągle zachowywać największą spokojność. „Dobrze mówisz, Odo,“ rzekł przy pożegnaniu — „jednak twój upór niewczesny. Wszelkie Bogi przebaczają łatwo błędom takiéj miłości, jak twoja. Wszakże rób, jak ci się zdaje. Mimo to pamiętaj, że moja nauka gotowa ci zawsze służyć. Przyjdź kiedy zechcesz; oto przyjdź jutro. Téj nocy pomówię ze staremi Bogami. Może na mniejszym datku przestaną: spodziewam się, że to uproszę. Ażeby jednak skutek moich modłów był pewniejszy, zostaw swój krzyżyk w domu. Wiedz jeszcze i to, że jutro właśnie jest księżyc w dobie najprzyjaźniejszéj widzeniom; opuściwszy tę chwilę możeby długo przyszło czekać na podobną.“ Pustelnik ze świątobliwém obliczem skłonił głowę na znak pożegnania, a Oda smutnie wracała do zamku.

Oda w płochém poczęciu swojego przedsięwzięcia nie przeczuła trudności ważniejszych, jak zwykłe ziemskie: rozmowa z pustelnikiem dała jéj przykro uczuć tę nieprzezorność. Teraz dopiero ujrzała, że jéj postępek może się wiązać ze sprawą sumienia, ze sprawą religii. Warunek położony przez mnicha stanął jak przeszkoda, któréj nie można było lekce ważyć. W pierwszém prawém natchnieniu przeszkoda ta sprowadziła ją prawie z drogi, na którą weszła nierozważnie, zniszczyła prawie zamiar niebezpieczny. W takiém usposobieniu wróciła do siebie i przetrwała aż do nocy. Ale odepchnięta myśl występna czekała ją w bezludnéj sypialni, na samotném łożu, pośród nocnych ciemności; tam to, sprzymierzona ze smutnemi marami przeszłego szczęścia i goryczą chwil obecnych, wystąpiła potężnie do zaciętéj walki. Silnie jakiś czas opierały się religijne uczucia, ale świeżo zaszczepione i to w sercu chwiejącém się co chwila mocniéj, nie miały już w niém pewnéj podpory, a namiętności rozumowały jak prawda, jak niewinność, przynajmniéj odziały się w pozory tego obojga; trudno więc było sumieniu pozyskać przychylny sobie wyrok Ody, która chętni éj widziała w sprawie jego przeciwników sprawę własną. „Zostawić krzyż w domu! tak myślała Oda, możeż w tém być co złego? Wszakże przez to nie wyrzekam się mojego Boga, nie poddaję się innym Bogom. To rzecz tak mała: a za to użyję takiéj radości: zobaczę męża, dowiem się o jego losie, pocieszę serce, odzyskam spokój, którego nie znam od tak dawna, a bez którego nic mi po życiu. Byłożby grzechem, przebyć jeden dzień bez krzyża na piersiach?“ Na próbę postanowiła zdjąć go z siebie i bez niego noc przepędzić. Co pomyślała, to wykonała natychmiast. Wróciwszy do łoża, aż sama się zdziwiła, że pozbycie się świętego znaku nie obudziło w niej żadnego przykrego uczucia, przeciwnie weszła w nię jakaś swoboda, pewne zadowolenie. Następnie, i to już mimo jéj wiedzy, stan ów przeszedł w upojenie gorączkowe, ale roskoszne. Otoczyły ją pokusy wszelkiego rodzaju. Wszystkie uciechy małżeńskie położyły się obok niéj w zmysłowych prawie postaciach: zdawało się jéj nieraz, że widzi, że dotyka swojego męża, że czuje uściski jego. Krew płomieniem grała po żyłach, serce biło przyspieszoném tchnieniem roskoszy, wpadała w rodzaj omdlenia, w złudzenie graniczące z rzeczywistością; a kiedy ocknęła się z niego, otwarła oczy, poznała się na złudzeniu i westchnęła za szczęściem, które albo już zniknęło, albo przedstawiało się jak niepewna przyszłość; wtedy snuły się po myślach w natrętném widzeniu jaskinia pustelnika, jego postać odziana jakimś niezwykłym urokiem, po sercu rozlewała się melodya jego muzyki potężnéj, jego głosu równie potężnego; wtedy drzała całém ciałem: a jednak niebyło to drzenie trwogi przykréj. Ona w téj chwili byłaby się rzuciła z uściskiem miłości na martwe drzewa i kamienie; w drzewach i głazach czułaby swojego męża, znalazłaby ogień jego uścisków. W podobnych marzeniach usnęła na pół pokonana, a sen był dalszym ich wątkiem. W podobnych marzeniach znalazło ją przebudzenie, pokonaną całkiém.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTEOLOGIA.

Capricioso.

W sztuce lekarskiéj osobna powstała nauka, Osteologią zwana, którąbyśmy idąc za purystami językowymi, na wzór wybornego, jak się niektórym zdaje, wyrazu umosłowie (logika), kościosłowiem nazwali, albo też jak inni chcą, kościoumnictwem. Wszakże nieświadomemu rzeczy, czy to ze szwedzkiego żelaza, czy z polskiego klucz ukujesz, zawsze nie będzie wiedział, jaki zamek otwiera. I spyta nas podobno czytelnik, co to za nauka?

Odpowiadamy mu na zdumienie jego, że tę naukę czyli nawet umiejętność nosi w sobie; — że się ona rozciąga po nim całym od zenitu jego wielowładnéj

głowy do nadyru kosteczki w wielkim palcu u nogi, którą naprzód wystawi; — że tę naukę niewiasta wyściela miękim i pulchnym puchem endedronowym, a mąż obrzuca żylastym, włosistym płaszczem skórzanym; — że nakoniec, gdy zdejmiesz ten ubiór maskowy, jak maski na balu w tragedyi Fausta Goethego, nauka ta zajrzy ci w oczy głębokiemi jamami w oczach i policzkach, zaszczekoce zębami, zachrzęści kostkami całéj postaci, i stanie przed tobą kościotrup — urzeczywiszczona Osteologia. W téj postaci zowie się ona śmierć i lata z kosą po świecie i zmiata coraz nowe ofiary, młodych i starych, mądrych i głupich, królów i żebraków, urodziwych i ułomnych, aby się lekarze uczyli osteologii płci, wieku i stanu, i aby kwitła nauka osteologiczna.

I jest czego się uczyć. Ile to tam kostek, kości i gnatów, ile to wyżłobień, wykrzywień, wypukłości, zagięć, a wszystko nie bez celu. Można się prawie zamiłować w gnatach. Znałem osteologa, który co rok dwa razy tę naukę na uniwersytecie wykładał, i tak wysechł ze starości i nauki, że sądzono, iż się sam w Osteologią zamieni. Jeżeli jednak jedni kościeją przy kościach, inni i szkielet ożywić potrafią myślą.

Wiele się z osteologii nauczyć może, nietylko lekarz, ale i człowiek, i należałoby tam dumnych magnatów naszéj ziemi posełać w naukę, aby widzieli, czego za życia swego nigdy nie obaczą, aby widzieli gnaty, które dźwigają na sobie ten kark dumny, i poznali, czy warto dla tego zwać się magnatem, albo mieć się za takiego?

Taki kościotrup osteologiczny jest wielką nauką moralną. Kiedy się tak człowiek weń wpatrzy, mimowolnie musi zapytać siebie, gdzie się podziało to gardło, przez które nie jeden przepuszcza majątek swój? — Ani śladu brzucha, któremu cały służył na świecie. Natura tak mało go ceniła, że go żadném nie opasała żebrem. Niżéj piersi sklepionéj sama próżnia. Nie mieściło się tam nic duchowego, coby się w osobném kościstém zawarło sklepieniu. — Szukaj tu znamion roskoszy ziemskich, za którémi gonisz, i im czas i całego siebie poświęcasz — nie znajdziesz i śladu. Wszystkie siedliska zmysłów twoich zamieniły się w jamy, i sterczą otworami, jak ruiny domu, w którym hulano i tańczono, pustkami z otworów drzwi i okien wyzierają.

I języka szczebiotliwego nie ma i śladu, téj wielowładnéj silni na umysł i serce. Widać, że i to pozor tylko, — zmysłowość sama. Po kolei wieków toczy się wóz czasu, kierunkiem, który mu wyższa potęga nadaje, a psy naprożno naszczekują na koła jego. Mowa, słowo, jeszcze nie jest kresem ni celem człowieka ani ludzkości, ale jest nim dopiero czyn i dzieło. Nie ze słów, ale z czynów złożone są dzieje, i żywot człowieka z nich tylko złożony. Słowo uleci na wiatr, przebrzmieje, trwanie jego, jak trwanie chwilki, ale czyn pozostaje wiecznie, jest nieśmiertelny. Nie dziw się zatém człowiecze, że i z języka nic nie pozostało w szkielecie. Kobieta jedna wysoko urodzona z zawiści pokłóła język mówcy rzymskiego po śmierci, mszcząc się za jego kąsającą szczebiotliwość za życia. Nie znała snać osteologii.

Jakież zatém filary z budowy człowieka zostają? Oto czaszka, pierś ożebrowana, ręce i nogi. Są to sklepienia rozumu i miłości, rusztowania pracy i ruchu, czyli w dalszém znaczeniu postępu. To czworo stanowi godność człowieka i wypełnia jego żywot. Po śmierci jeszcze, gdy wszystka cielesność odpadnie, i sam zostanie szkielet, niby wiązania i słupy domu mieszkalnego, dostrzeżesz, gdzie przeznaczenie duchowi twojemu budowało mieszkanie. Cóż powiesz człowiecze, jeżeliś do gardzieli i brzucha przeniósł ducha twego na mieszkanie, zamiast zamieszkać te warowne zamki żywota twego? Należałoż żywot przetrawić w przedsionkach, rozkołysać go w tych próżniach i otchłaniach, alboli na samych słowach budować zasługi, zamiast błyskać myślą, żagle uczuć szlachetnych rozpuścić, objąć rękoma to ziemskie kulisko, i choć krok jeden dać naprzód.

Patrz jak cię natura zbudowała! Jeszcze jako szkielet rozpinasz silne kości ramion twoich na wschód i zachód; z nóg jednę na północ, drugą na południe stawiasz, jakbyś miał z każdego miejsca objąć cztery okolice nieba, na cztery wiatry rozesłać ducha swego. Znaszli zasady fizyki? — Pojrzyj na ten skład kości w ramionach i udach, aż do kończyn palcy u nóg i rąk! to same drążki, same dźwignie złożone. Każda ręka i noga każda, to drążek Archimedesowy, sześć razy złożony. W jakiéjżto potędze dźwigniesz ciężary maluczką ludzką siłą twoją!

Na cztery strony natura opatrzyła cię takiemi drążkami, o których w uniesieniu zawołał ów mechanik starożytności: da mihi punctum et terram movebo (daj mi punkt oparcia, a ruszę ziemię z posad swoich). Nie dał Bóg tego punktu Archimedesowi, bo pocóż człowiek miałby w wielkie dzieło Stworzenia nieporządek wprowadzać, wyważając z systemów słońc, globy i planety, jak z ziemi wyważa kamienie; — ale dał go Bóg duchowi człowieka, aby wyważał z zależenia się i z gnuśności świat ducha.

Tym punktem podpory, tym punktem przyczepienia, jest wola człowieka. O nią zaprzyj wszystkie dźwignie twoje, a wyważysz najogromniejsze kamienie

pod fundament duchowego świata, choćby je z błót i trzęsawisk marności i nikczemności ludzkich wydobywać, choćby je z głębin ich przesądów, niewiadomości i wielorakiego obłąkania ruszyć przychodziło.

Gdy jedna wola już tak silna, czegożby nie dokazały wole wielu w jeden punkt podpory zestrzelone, i tysiące rąk i nóg o ten punkt oparte? czegożby nie dokazał naród, gdyby zrósł w jednego olbrzyma, w jedno uczucie, w jednę myśl wolę jednostek swoich zespólił, i ruszył milionami drążków o tę wolę opartych? Nie ma potęgi na świecie, któréjby nie złamał z taką łatwością, z jaką machina parowa łamie i druzgoce wszystko, co się jéj na zawadzie nawinie.

Ale snać jak w prawach mechaniki fizycznéj trudność rośnie w równym stosunku ze skutkiem, tak i w prawach mechaniki moralnéj się dzieje. Im mnogość ludzi połączonych większa, tém większy skutek, ale też tém trudniejsze ich połączenie w jednę wolę. W zamęcie różnych zdań, wyobrażeń, rozlicznych interesów i widoków, rozstrzelają się wole ludzkie, i działają przeciwko sobie, i niszczą nawzajem swoje siły, zamiast żeby je obrócić przeciw zaporom i zawadom, co jakby porochy w Dnieprze tamują żeglugę wolną ludzkości; a jak Tatry rozsiadłe rozparły się leniwém a szerokiém ciałem na gościńcach narodu. Wiedział to Jowisz, co na szczycie Olimpu trzymał niegdyś w dłoni pioruny, i śmiać się mógł z Cyklopów, co stawiali Pindus na Oetę, i szturmowali mu niebo. Już wtenczas można było wypowiedzieć tę zasadę: jednego się obawiam, ale wielu nie lękam się.

Wielekroć już powtórzyła się na świecie wyprawa Jazona po złote runo do Kolchidy. Zasiana smoczemi zębami rola, wydała zbrojnych mężów nieprzeliczone hufce, stawających w obronie palladium swojego, złotego runa. Jakiż dała środek Medea czarownica, kochankowi Jazonowi do pokonania tych zastępów? Oto jest, powiedziała, kamyszek zawiści i niezgody; gdy powstaną, rzuć go pomiędzy nich, a obrócą oręże przeciwko sobie, i wytępią się sami.

Tak drobną wydaje się istota człowieka w porównaniu z masą ziemi, jego mieszkaniem, że się wydaje po niéj, nie tyle co mrówie pracujące. A jednak powierzchnię ziemi zmienili, przyrodzenie opanowali, żywioły wzięli w posługi. Bo tu wole pojedyńcze nie przeszkadzają sobie nawzajem. Gdyby w równi szły siły ducha, co siły pracy, stokroć od nich potężniejsze, gdzieby już były ludzkość zaniosły?

Wystawmyż zatém kościotrup ludom, by się na nim uczyły osteologii. Niechby przynajmniéj pojęły drążkowy skład rąk i nóg swoich, i poznały, gdzieby sięgła ich potęga; czegoby nie dokazało ich działanie, gdyby w milionowe złożenia zespolili dźwignie swoje, a tę całą złożoną machinę oparli o jednę wolę swoję.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — Z początkiem roku wyszły „Dzieje Rzeczypospolitéj Polskiéj“ przez Jędrzeja Moraczewskiego. Tyle mamy styczności i z autorem i z wydaniem jego dzieła, iż cokolwiekbyśmy powiedzieli, mogłoby być za stronne uważane, azatém od sądu wstrzymać się wolimy.

Tom Iszy „Roku 1843.,“ który w tych dniach prasę opuścił, składa się z pism Trentowskiego, Goszczyńskiego, Wolniewicza, Cieszkowskiego i Moraczewskiego. W dziele tém będą zamieszczane prace wielu pisarzy, i to zawsze imiennie dla tego, żeby u nas krytykę na godniejsze wprowadzić stanowisko. Dla autorów jednakże, którym słusznie potrzeba imie zataić, wydawcy potrafią wyjątek uczynić i niejako przyjąć za nich odpowiedzialność przed czytelnikami.

Losy kobiet. — Bonaparte założył w Ecouen szkołę żeńską, w któréj przyjmowano córki wojskowych wszystkich stopni, dając im równe wychowanie. W téj szkole zawarły trzy panny ścisłą przyjaźń: Hortenzya, Marya i Klaryssa. Marya była córką biednego porucznika, który w jednéj bitwie oba oczy utracił; ojciec Klaryssy był jednym z owych jenerałów, którzy wielki zebrali majątek, a nadto od Napoleona księstwem został opatrzony. Rodzina Hortenzyi w większych jeszcze opływała dostatkach. Po kilku latach nadszedł czas rozłączenia się trzech przyjaciółek. Po śmierci matki, wezwano Maryą do domu, aby pilnowała ojca pozbawionego oczu. Przed rozstaniem się przysięgły sobie, że po dziesięciu latach, w tym samym dniu, o szóstéj godzinie zejdą się u bramy Tuileryów, mimo wypadków, któreby zapełniły ten przeciąg czasu. Ogrodowy pracował niedaleko tego miejsca, przywołały go na świadka przysięgi. Nazajutrz Marya odjechała. W trzy miesiące później poszła za mąż Klaryssa, a nim rok upłynął opuściła szkołę Hortenzya. Dziesięć lat upłynęło. — Było to w porze jesiennéj, dzień niedzielny, za dziesięć minut miała szósta uderzyć, a żadna z trzech przyjaciółek nie przybyła na miejsce. Ale zaledwie ostatni raz zegar wybił, prześliczny pojazd czworokonny stanął przed bramą Tuileryów, z niego wysiadła młoda kobieta pięknie ubrana. Była nią Marya, córka biednego porucznika. Napo–

leona nie było, Burbonowie osiedli tron Francyi. Rodzinie Maryi powrócono dobra, które utraciła w czasie rewolucyi. Kiedy Marya obraca się i czeka, zbliża się zwolna kobieta porządnie ale ubogo ubrana, i przemówiła do niéj słów kilka. Po chwili leżała Marya w uściskach swéj kochanéj Klaryssy. Bogata Klaryssa, córka jenerała, żona milionowego pana, dawno zubożała. Mąż jéj, bogaty bankier, zbankrutował i uciekł. „Opowiesz mi późniéj dzieje twojego życia," rzekła Marya — „bo odtąd nigdy się nie rozłączymy. Byłam biedną w Ecouen i tyś mnie kochała. Teraz jestem bogatą i zostaniesz u mnie na zawsze." Klaryssa już chciała siadać do powozu swéj przyjaciółki, kiedy po sobie pojrzały:

„Ale gdzie Hortenzya?"

„Ty wiesz, czém była," — rzekła Marya z westchnieniem.

„I ty wiesz, czém jest," — dodała Klaryssa i łza potoczyła się z jéj oka.

W przeciągu tych lat dziesięciu, Marya przyszła do dostatków, Klaryssa zubożała, a Hortenzya poszła na wygnanie.

W téj chwili zbliżył się do obu człowiek, który widocznie ich szukał.

„Czy panie nazywacie się Klaryssa i Marya?" zapytał ogrodowy Grzegorz z Ecouen, a odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, oddał każdéj szkatułkę i zniknął w tłumie.

Obie otworzyły szkatułki i znalazły dwie połowy jednéj korony, — którą nosiła dawna królowa holenderska, Hortenzya, pasierbica Napoleona.

Dwa niedźwiedzie. Znana jest powieść: niedźwiedź i basza — a mało zapewne znajduje się takich, co wiedzą, iż powieść ta jest prawdziwą. Selim III. panował w r. 1805. w Konstantynopolu i nudził się jak sułtan. W tém zjawia się w jego stolicy Włoch pewien nazwiskiem Baffo, który się schronił przed angielskim okrętem. Był to przemycarz, złodziéj, intendent bogatego bankiera w Lombardyi, szpieg policyjny, kamerdyner jakiegoś lorda, antykwarz w Rzymie i poczęści bandyta. Wszystko umiał, nie znał słowa „niepodobieństwo", a za pieniądze do wszystkiego zdolny. Tak zapoznał się powoli z osobami pałacu cesarskiego, potém z wielkim wezyrem, a nakoniec z samym sułtanem. Temu przynosił z miasta osobliwości, psy uczone, pchły robocze i t. d. i tak bawił sułtana. Nakoniec opowiadał mu, iż widział niedźwiedzia grającego na fortepianie. Selim zdziwiony, chciał zobaczyć osobliwego mistrza. Włoch przyrzekł przyprowadzić cudowne to zwierzę. Baffo znał innego awanturnika, Józefa Vecchiari, przebiegłego hultaja, który z dwudziestu więzień już był uciekł. Temu udzielił swéj tajemnicy; Józef na nią przystał. Kupił skórę niedźwiedzią, Józefa zaszył w nią i wyuczył chodzić na czterech łapach i mruczeć. Po kilku dniach zaprowadził Baffo swego niedźwiedzia do sułtana, ten zaś rozkazał przynieść fortepian z haremu. Niedźwiedź sparł się na dany znak Baffy na tylne łapy i dość składnie przebierał przedniemi łapami po klawiszach. Sułtan rozpływał się tym widokiem i oświadczył, że niedźwiedzia zatrzyma i rozkazał zaprowadzić go do cesarskiéj menażeryi. Baffo począł się wymawiać, ale napróżno. Vecchiari tym wypadkiem niespodziewanym strapiony, szedł wolnym krokiem na czterech łapach do menażeryi, gdzie go w klatce żelaznéj zamknięto. Na prawo miał lwa sąsiada, który co chwila ryczał, na lewo panterę. Nie potrzebujemy wspominać, że Józef złą przebył noc z czworonogami, przeklinał swą nieostrożność i swego przyjaciela, i wołał rozmaitemi językami o pomoc. Nikt go nie słyszał. Nazajutrz przybył Baffo z Bostandzim, prowadząc prawdziwego ze sobą niedźwiedzia, który zajął jego miejsce. — „Kosztujesz mię teraz 2000 piastrów, które dałem Bostandziemu za twoję wolność," rzekł Baffo. Trzeciego dnia kazał Selim przyprowadzić niedźwiedzia i usadzić do fortepianu. Zwierz nie zrozumiał, czego żądano od niego, poszarpał fortepian i tak zdziczał dźwiękiem strun, że sam Selim w obawie o własne życie, kazał nieposłusznego niedźwiedzia wyprowadzić z pałacu i łeb mu uciąć, co też ściśle wypełniono. — Mimo to Baffo nie utracił łaski sułtańskiéj, ale dokuczano mu w Konstantynopolu, udał się przeto do Persyi i odtąd nic o nim nie słyszano. Vecchiari zaś został Turkiem i byłby może został baszą, gdyby nie był umarł na zarazę morową.

Donizetti napisał nową komiczną operę „Don Pasquale", i pracuje już nad drugą „Książę Alba." Pierwszéj partyturę przedał za 6000 franków. — Berlioz, o którym wspomnieliśmy w przeszłym numerze, iż ma zamiar Niemcy zwiedzić, przybył do Sztutgardu i tam pod jego kierunkiem wykonano kilka z jego kompozycyi, w których nawał tonów, nadzwyczajne uczynił wrażenie na słuchaczach. Za rozprawę jego o sztuce nowéj instrumentacyi otrzymał od nakładzcy Schonenberga w Paryżu 10,000 franków.

W Paryżu jakiś człowiek ubrany przystojnie, ostro rozprawiał w kawiarni o rządzie francuzkim. Drugi temu przytomny zbliżył się do niego i rzekł: „nie rozprawiaj pan tak głośno, bo doznasz nieprzyjemności." Pierwszy nie zważał na przestrogę, drugi zaś dobył znak tajnéj policyi, pokazał mu dla wiadomości i rzekł:

„proszę pana ze mną.“ Wezwany szepnął: „jestem poczciwym człowiekiem i ojcem licznéj rodziny, zrobisz mnie nieszczęśliwym, jeżeli mnie oddasz do więzienia; mam przy sobie sześć lujdorów, jeżeli pozwolisz, porozumieć się możemy.“ „To wyjdźmy,“ odrzekł drugi. Opuścili kawiarnią i stanęli przed drzwiami, gdzie stał żołnierz na warcie. „Jeżeli mi pan dasz sześć luidorów, będę milczał.“ — Pierwszy dał mu pieniądze, lecz wydobył równy znak szpiegoski i zawołał na żołnierza: „aresztuj tego tu człowieka, który rząd zdradza za sześć lujdorów.“ Było to dwóch szpiegów, nie znających siebie nawzajem.

Anglik jeden wynalazł machinę parową — do krów dojenia.

Idee są teraz przedmiotem zarobkowości. Opowiadają o jednym kompozytorze, który podał swą operę pod sąd wielkiéj Opery w Paryżu, lecz że ta uznała ją za niegodną przedstawienia, kupiła od autora przynajmniéj ideę do téj opery za 500 fr., którą zapewne Scribe na własną przerobi. Coś podobnego dzieje się w Niemczech, gdzie niejeden wielki dom handlowy opłaca ludzi tworzących pomysły do spekulacyi i za te idee hojnie płaci.

MODY.

Paryż, dnia 26. Stycznia 1843.

Spodziewano się mocnéj zimy i zaopatrzono się dla tego w mnóstwo pięknych płaszczy i kryspin. Liczba ich jest nadzwyczajna; za najpiękniejsze płaszcze uważają wyrobione z czarnego ciężkiego atłasu, podszyte we fijołkowym kolorze; z kryspin najwięcéj się podobają aksamitne, łabędzikiem orzucone, albo w kolorze karmazynowym i gronostajami oszyte.

Paletoty także co do liczby nie ustępują, jakoby mrozy panowały; nie tak dla ciepła je noszą, jak aby się w nich pokazać we włoskim teatrze i w towarzystwach.

I w kościołach ukazuje się mnóstwo w wyszukanych ubiorach, a szczególniéj postrzegać się daje zbytek w kryspinach i kamelach aksamitnych bez szwu. Dla tego rodzaju ubioru wyrabiają osobne aksamity, atłasy i pekiny w wielkiéj szerokości. Niektóre kamele są zupełnie futrem podszyte, inne tylko obłożone, z kołnierzem futrzanym. Widzieliśmy kamel z czarnego aksamitu, grebą oszyty i takiż zarękawek. Także znachodzimy i szale grebowe.

Wystrój kapeluszy jest nader pojedyńczy; aksamitnych n. p. z jednego tylko pióra pięknego lub ptaka rajskiego, bez wstążek, kokard złożony, tylko z jednym paskiem aksamitu.

Ponieważ kamel nie tak jest długi jak suknia, można przeto garnirunek na niéj widzieć. Na sukniach z pięknych gładkich tkanin znajdują się najczęściéj dwa paski szerokie aksamitne, na sukniach pekinowych dwie lub trzy falbany, gładko niemal przyszyte.

Suknie futrem oszyte bardzo są poszukiwane i dwa są rodzaje oszywania futer na sukniach aksamitnych lub atłasowych. Czasem dotykają samego brzegu sukien u dołu, natenczas powinny być szerokie, czasem zaś wyżéj oszyte, wtenczas bywają mniéj szerokie. Stanik ma pelerynę z tkaniny sukni i maleńki kołnierz futrzany. Rękawy u dołu są także osadzone futrem.

Ubiór ranny negliżowy. Szlafroczek z niebieskiéj popeliny w wielką kratkę czerwoną i zieloną; u dołu i u rękawów niebieskim paskiem aksamitnym oszyty. Kołnierzyk batystowy z zmarszczonym rąbkiem, czepeczek muślinowy, gazą różową podszyty; maleńki krawat z białego kaszemiru; rękawiczki bez palcy z czarnego aksamitu.

Negliż na wieczory. Suknia z indyjskiego muślinu, podszyta różowym atłasem; półwycięty stanik, ugarnirowany różowemi fontażami; bukiet i wachlarz.

Strój na wieczory. Suknia z fijołkowego aksamitu, berta u niéj gronostajowa; egipski strój głowy ze złotéj gazy; białe, bardzo krótkie rękawiczki; płaszczyk z niebieskiego atłasu, gronostajami podszyty; białe atłasowe trzewiki. Wachlarz i bukiet.

Z drobiazgów najulubieńszych wymieniamy rękawiczki haftowane z aksamitu bez palcy i białe kaszemirowe torebki, złotem lub kolorowym jedwabiem haftowane. Na podarunki podczas nowego roku najwięcéj kupowano kaszemirowych szali, ztąd wnosić należy, że będą je nosić więcéj, jak dotąd.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak z bronzowego sukna. Biała kamizelka. Pantalony obcisłe.
2. Suknia z powłoką obszerną, orzucona fontażami u dołu i u stanika. Strój głowy z koronek i gronowin. Krótkie rękawiczki.
3. Suknia w pasy zielone. Berta koronkowa szeroka. Strój głowy z koronek przeplatanych wstążkami w kształt małych róży. W ręce bukiet.
4. Szlafroczek orzucony gronostajami. Kapelusz zdobny koronkami i kwieciem.
5. Szlafroczek zielony, pasamonami oszyty, kamel sobolowy, takiż zarękawek. Kapotka atłasowa, zdobna wstążkami.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*